

ERNEST HEMINGWAY

Ruhome święto

Wydanie odtworzone

Słowo wstępne

Patrick Hemingway

Redakcja oryginalnego wydania i wprowadzenie

Seán Hemingway

Przełożył

Miłosz Biedrzycki

MARGINESY

A Moveable Feast

COPYRIGHT © BY Hemingway Foreign Rights Trust /
Hemingway Copyright Owners

FOREWORD © Patrick Hemingway

INTRODUCTION © Seán Hemingway

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Miłosz Biedrzycki

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Dobra kawiarnia na Place Saint-Michel

I była niepogoda. Przychodziła któregoś dnia pod koniec jesieni. W nocy musiałeś zamknąć okna przed deszczem, a zimny wiatr zdzierał liście z drzew na Place de la Contrescarpe. Przemoczone liście leżały na deszczu, wiatr zaciął kroplami na wielki zielony autobus na pętli, a w Café des Amateurs był tłok i okna zachodziły od wewnątrz mgłą od ciepła i dymu. Była to żałosna, podle prowadzona kawiarnia, w której tłoczyli się pijacy z dzielnicy; unikałem jej ze względu na smród niemytych ciał i kwaśny odór pijaństwa. Bywalcy i bywalczyńie Amateurs byli pijani przez cały czas, albo przez cały czas, kiedy mogli sobie na to pozwolić, głównie od wina kupowanego na litry albo połówki litra. Serwowano tam liczne aperitify o dziwacznych nazwach, ale mało kogo było na nie stać, chyba że w charakterze podkładu pod upicie się winem. Pijące tam kobiety zwane były *poivrottes*, co oznaczało mniej więcej tyle co pijaczki.

Café des Amateurs była szambem rue Mouffetard, wspinałej tłocznej uliczki targowej wychodzącej na Place de la Contrescarpe. Kucane ubikacje w starych kamienicach, po jednej na każdym piętrze przy schodach, z karbowanymi betonowymi występami w kształcie podszew po obu stronach otworu, żeby *locataire* się nie poślizgnął, miały ujścia do szamb, z których nocami wypompowywano zawartość do szambiarek

ciągniętych przez konie. W lecie, przy otwartych oknach, mogłeś usłyszeć odgłos pomp i poczuć silny fetor. Szambiaraki były pomalowane na brązowo i szafranowo, a w świetle księżycy na rue du Cardinal Lemoine ich podłużne cysterny na podwoziach ciągniętych przez konie wyglądały jak z obrazów Braque'a. Nikt jednak nie wypompowywał zawartości Café des Amateurs, a wiszący tam pożółkły afisz wyszczególniający kary za nietrzeźwość w miejscu publicznym był równie wyswiechtany i ignorowany jak klientela – woniejąca i niezmienna.

Pierwsze chłodne deszcze zimowe w jednej chwili przynosiły ze sobą cały smutek miasta; kiedy szedłeś, nie było już białych szczytów kamienic, tylko mokra czerń ulicy i zamknięte drzwi sklepików: zielarskich, papierniczych, z gazetami; zakładu akuszerki – drugiej klasy – i hotelu, w którym zmarł Verlaine i gdzie na najwyższym piętrze wynajmowałeś pokój do pracy.

Na górę prowadziło sześć albo osiem odcinków schodów, było tam bardzo zimno i dobrze wiedziałem, ile musiałbym zapłacić za wiązkę rozpałki, trzy powiązane drutem pęczki sosnowych szczap długości połowy ołówka, które zajęłyby się od rozpałki, i jeszcze wiązkę polan z twardego drewna, żeby móc rozpalić ogień i ogrzać pokój. Przechodziłem więc na drugą stronę ulicy i patrzyłem na zalewany deszczem dach, sprawdzając, czy z któregośkolwiek komina leci dym i w którą stronę. Nie zobaczyłem dymu i pomyślałem, że zimny komin może nie mieć ciągu, wtedy dym wypełni pokój, a opał razem z pieniędzmi pójdzie na marne, ruszyłem więc dalej przez deszcz. Minąłem Lycée Henri Quatre, stary kościół Saint-Étienne-du-Mont i smagany wiatrem Place du Panthéon, w poszukiwaniu schronienia skręciłem w prawo i w końcu wyszedłem po zawietrznej na Boulevard Saint-Michel; poszedłem nim w dół,

mijając Musée de Cluny i Boulevard Saint-Germain, aż do dobrej kawiarni na Place Saint-Michel.

Była to przyjemna kawiarnia, ciepła, czysta i przyjazna; powiesiłem swój stary płaszcz przeciwdeszczowy na wieszaku, żeby wysechł, znoszony, wytarty filcowy kapelusz położyłem na półce nad ławą i zamówiłem *café au lait*. Kiedy kelner ją przyniósł, wyjąłem z kieszeni marynarki notes i ołówkę i zacząłem pisać. Pisałem o północnym Michigan, więc taki sam słotny, zimny, wietrzny dzień znalazł się w opowieści. Przeżywałem już koniec jesieni jako dziecko, chłopak i młody mężczyzna; pewne miejsca lepiej niż inne nadawały się do pisania o nim. Nazywa się to przeszczepianiem siebie, pomyślałem, i może być niezbędnym w odniesieniu zarówno do ludzi, jak i innych rosnących istot. Ale w opowiadaniu chłopcy pili, więc mnie też zachciało się pić i zamówiłem rum St. James. W zimny dzień smakował wyśmienicie i pisałem dalej, czując się świetnie i czując, jak dobry rum z Martyniki rozgrzewa całe moje ciało i ducha.

Do kawiarni weszła dziewczyna i usiadła samotnie przy stoliku koło okna. Była bardzo ładna, z twarzą świeżą jak nowo wybita moneta – gdyby monety wybijano z gładkiego ciała o skórze odświeżonej deszczem – i kruczoczarnymi włosami ściętymi ostro w skos policzka.

Patrzyłem na nią, wytrącony z równowagi i bardzo podkorytowany. Miałem ochotę umieścić ją w opowiadaniu albo gdziekolwiek indziej, ale ona sama umiejscowiła się tak, by móc obserwować ulicę i drzwi, i widziałem, że na kogoś czeka. Wobec tego pisałem dalej.

Opowiadanie samo się pisało i ledwo mogłem za nim nadążyć. Zamówiłem jeszcze jeden rum St. James i patrzyłem na dziewczynę za każdym razem, kiedy podnosiłem wzrok albo

kiedy ostrzyłem ołówek w temperówce, a skręcone strużyny spadały na spodek pod moim kieliszkiem.

Ujrzałem cię, piękna, i teraz należysz do mnie, nieważne, że na kogoś czekasz i że cię więcej nie zobaczę, pomyślałem. Należysz do mnie i cały Paryż do mnie należy, a ja należę do tego notesu i ołówka.

Potem wróciłem do pisania, wszedłem głęboko w opowiadanie i zgubiłem się w nim. Teraz ja je pisałem, przestało pisać się samo, nie podnosiłem już wzroku i nie myślałem o upływie czasu ani o tym, gdzie jestem, nie zamawiałem też więcej rumu St. James. Nie zastanawiałem się nad tym, ale miałem już dość rumu St. James. W końcu opowiadanie było skończone, a ja – bardzo zmęczony. Przeczytałem ostatni akapit, podniosłem wzrok i rozejrzałem się za dziewczyną, ale już jej nie było. Mam nadzieję, że wyszła z jakimś porządnym facetem, pomyślałem. Było mi jednak smutno.

Zamknąłem opowiadanie w notesie, włożyłem go do wewnętrznej kieszeni i poprosiłem kelnera o tuzin *portugaises* i pół karafki białego wytrawnego wina, które tam podawano. Zawsze po napisaniu opowiadania czułem się pusty; jednocześnie szczęśliwy i smutny, jak gdybym właśnie skończył się kochać; tym razem byłem pewien, że to bardzo dobre opowiadanie, choć jak dobre, nie będę się mógł przekonać aż do następnego dnia, kiedy je przeczytam.

Kiedy jadłem ostrygi mocno smakujące morzem i ze słabym metalicznym posmakiem, który znikał, splukany zimnym winem, aż zostawały tylko morski smak i soczysta mięsistość, i wysysałem zimny płyn ze skorupki, wszystko to popijając orzeźwiająjącym winem, przestałem odczuwać pustkę, poczułem szczęście i zacząłem snuć plany.

Teraz, kiedy nadeszła niepogoda, moglibyśmy na jakiś czas wyjechać z Paryża gdzieś, gdzie ten deszcz byłby śniegiem sypiącym między iglakami, pokrywającym drogi i górskie zbocza, na takiej wysokości, że skrzypiałby pod stopami, kiedy wracalibyśmy wieczorem do domu. Poniżej Les Avants leżał pensjonat górski ze świetnym wyżywieniem, byłibyśmy tam razem, zabralibyśmy ze sobą książki, a w nocy byłoby nam ciepło w łóżku przy otwartych oknach i jasno świecących gwiazdach. Tam właśnie byśmy pojechali.

Zwolniłbym pokój w hotelu, w którym pisałem, i pozostałby tylko czynsz za rue du Cardinal Lemoine, który wynosił tyle co nic. Wysyłałem korespondencje do gazet w Toronto i spodziewałem się czeków z honorariami. Mogłem pracować w ten sposób gdziekolwiek i w każdych warunkach i stać nas było na ten wyjazd.

Może z dala od Paryża mógłbym pisać o Paryżu, tak jak w Paryżu mogłem pisać o Michigan. Nie wiedziałem, że na to było zbyt wcześnie, bo nie znałem jeszcze Paryża wystarczająco. Ostatecznie jednak tak właśnie się stało. Tak czy inaczej, wyjedziemy, jeśli moja żona zechce; dokończyłem ostrygi i wino, uregulowałem rachunek w kawiarni i poszedłem najkrótszą drogą w górę Montagne Sainte-Geneviève, w deszczu, który był teraz tylko miejscową pogodą, a nie czymś, co odmienia życie, aż na płaski szczyt wzgórza.

– Myślę, że byłoby wspaniale, Tati – powiedziała moja żona. Miała uroczo foremną twarz, a jej oczy i uśmiech rozpromieniły się na wieść o planach, jak gdyby były one cennymi podarunkami. – Kiedy byśmy jechali?

– Kiedy tylko zechcesz.

– Och, chcę jechać zaraz. Nie wiedziałeś o tym?

– Może będzie ładnie i jasno, kiedy wrócimy. Kiedy jest zimno i bezchmurnie, potrafi być bardzo ładnie.

– Na pewno będzie – odpowiedziała. – Ależ jesteś miły, że o tym pomyślałeś.

Lekcje panny Stein

Kiedy wróciliśmy do Paryża, było pogodnie, zimno i cudownie. Miasto przystosowało się do zimy, w składzie opału po drugiej stronie ulicy można było dostać porządne drewno, a przed dobre kawiarnie powystawiano piecyki, więc w ogródkach się nie marzło. Nasze mieszkanie było ciepłe i radosne. Paliliśmy w kominku jajkowatymi brykietami z miazgi węglowej zwanyymi *boulets*, a na ulicy było piękne zimowe światło. Można się było przyzwyczaić do widoku nagich drzew na tle nieba i w przejrzystym, ostrym wietrze spacerować po wymytych deszczem żwirowych ścieżkach ogrodu Luksemburskiego. Drzewa, kiedy się człowiek z tym oswoił, wyglądały pięknie bez liści, zimowy wiatr hulał po powierzchni sadzawek i fontanny tryskały w jasnym świetle. Po tym, jak wróciliśmy z gór, wydawało nam się, że wszędzie jest blisko.

Po powrocie z dużych wysokości odczuwałem nachylenie pagórków tylko o tyle, że czerpałem przyjemność z podchodzenia pod nie; wspinaczka na najwyższe piętro hotelu, do pokoju, w którym pracowałem, górującego nad dachami i kominami całej dzielnicy na wzgórzu, też była przyjemnością. Kominiek w pokoju miał dobry ciąg, było ciepło i wygodnie się tam pracowało. Przynosiłem z dołu zapakowane w papier mandarynki i pieczone kasztany, obierałem i zjadałem małe pomarańcze,

rozzucałem skórki i plułem pestkami do kominka, i jadłem też kasztany, kiedy byłem głodny. Głodny byłem przez cały czas, od chodzenia i zimna, i pracy. Na górze w pokoju miałem butelkę kirszu, którą przywieźliśmy z gór, i nalewałem sobie kieliszek, kiedy zbliżałem się do końca opowiadania lub dnia pracy. Kiedy kończyłem po całym dniu, wkładałem notatnik albo papier do szuflady, a mandarynki, jeśli zostały, do kieszeni. Gdybym zostawił je na noc w pokoju, zamarzłyby.

Wspaniale było schodzić z góry schodami ze świadomością, że praca dobrze mi poszła. Zawsze pracowałem, dopóki nie dokończyłem jakiegoś fragmentu, i zawsze przerywałem, kiedy wiedziałem, co ma być dalej. W ten sposób miałem pewność, że na drugi dzień ruszę do przodu. Ale czasami, kiedy zaczynałem nowe opowiadanie i nie mogłem ruszyć z miejsca, siadałem przy kominku i wyciskałem skórki pomarańczy nad ogniem, i patrzyłem, jak ze spadających kropel tryskają błękitne płomyki. Wstawałem i patrzyłem ponad dachami Paryża, i myślałem: „Nie martw się. Wcześniej pisałeś i teraz też napiszesz. Musisz tylko zapisać jedno prawdziwe zdanie. Napisz najprawdziwsze zdanie, jakie znasz”. I w końcu zapisywałem jedno prawdziwe zdanie, i z tego miejsca ruszałem do przodu. To działało, bo zawsze znajdowało się jakieś prawdziwe zdanie, które znałem albo widziałem, albo słyszałem na własne uszy. Jeśli zaczynałem pisać w wymyślny sposób albo w manierze ekspozycji czy prezentacji, odkrywałem w końcu, że można wyciąć te ozdobniki i ornamenty, odrzucić je i zacząć od pierwszego prawdziwego prostego zdania oznajmującego, które napisałem. W tym pokoju na górze podjąłem decyzję, że napiszę po jednym opowiadaniu o każdej rzeczy, jaką znam. Trzymałem się tego przez cały czas, kiedy pisałem, i była to dobra i surowa dyscyplina.

Również w tym pokoju nauczyłem się, żeby od momentu, gdy skończę pracę jednego dnia, aż do początku następnego nie myśleć o tym, co piszę. Dzięki temu mogła się tym zajmować moja podświadomość, podczas gdy ja słuchałem ludzi i nic mi nie umykało (przynajmniej taką miałem nadzieję), i wciąż się uczyłem (taką miałem nadzieję), i czytałem, żeby nie myśleć o swojej pracy i nie tracić sił do niej. Schodzenie po schodach po dniu dobrej pracy, wymagającej i łutu szczęścia, i dyscypliny, było cudownym uczuciem i mogłem potem wędrować po Paryżu, gdzie tylko chciałem.

W te popołudnia, kiedy schodziłem ulicami aż do ogrodu Luksemburskiego, mogłem przejść przez park do Muzeum Luksemburskiego, gdzie wisiały wspaniałe obrazy, w większości przeniesione później do Luwru i do Jeu de Paume. Chodziłem tam prawie co dzień, do Cézanne'a i do Maneta, i Moneta, i innych impresjonistów, których pierwszy raz zobaczyłem w Art Institute w Chicago. Od Cézanne'a uczyłem się czegoś, co sprawiało, że pisanie prostych prawdziwych zdań przestało wystarczać mi do nadania opowiadaniom takiego wymiaru, jaki bym chciał. Uczyłem się od niego bardzo dużo, ale nie byłem w stanie wyrazić tego słowami tak, żeby ktoś inny zrozumiał. Poza tym był to sekret. Jeśli jednak w muzeum nie było już światła, szedłem przez park pod górę i dochodziłem do pracowni przy rue de Fleurus 27, gdzie mieszkała Gertrude Stein.

Złożyliśmy z żoną wizytę pannie Stein, ona i mieszkająca z nią przyjaciółka były dla nas bardzo serdeczne i miłe, a nam bardzo spodobała się obszerna pracownia ze wspaniałymi obrazami. Było tam jak w najlepszej sali najznakomitszego muzeum, tyle że z wielkim kominkiem, i było ciepło, i wygodnie, i dostawało się dobre rzeczy do jedzenia, i herbatę, i likiery

na naturalnych destylatach owocowych z żółtych i fioletowych śliwek, i z leśnych malin. To były pachnące, bezbarwne alkohole nalewane z kryształowych karafek do małych kieliszków, i czy to *quetsche*, czy *mirabelle*, czy *framboise*, wszystkie smakowały jak owoce, z których były zrobione, w ustach przemieniające się w oswojony ogień, który rozgrzewał i rozwiązywał język.

Panna Stein była bardzo duża, ale nie wysoka, o krzepkiej chłopskiej budowie. Miała piękne oczy i wyrazistą niemiecko-żydowską twarz, która mogłaby też pochodzić z Friuli; przywodziła mi na myśl chłopki z północnych Włoch, swoim strojem, ruchliwą twarzą i cudownymi, gęstymi, żywymi imigranckimi włosami, które upinała pewnie tak samo, kiedy była studentką. Bez przerwy mówiła, z początku – o ludziach i miejscach.

Jej towarzyszka miała bardzo miły głos, była drobna, bardzo śniada, z fryzurą na Joannę d'Arc z ilustracji Bouteta de Monvela, miała też bardzo haczykowaty nos. Kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, była zajęta wyszywaniem, zatroszczyła się też o poczęstunek i o konwersację z moją żoną. Prowadziła jedną rozmowę i jednocześnie nasłuchiwała dwóch innych, i często wtrącała się do tej, w której nie brała udziału. Powiedziała mi później, że zawsze rozmawia z żonami. Żony, takie odnieśliśmy z żoną wrażenie, były tolerowane. Polubiliśmy jednak pannę Stein i jej przyjaciółkę, choć przyjaciółka budziła przestrach, natomiast obrazy, ciasta i *eau-de-vie* były po prostu wspaniałe. Wyglądało na to, że kobiety też nas polubiły i traktowały jak dwójkę miłych, grzecznych i dobrze zapowiadających się dzieci; miałem poczucie, że wybaczały nam, że byliśmy młodym i zakochanym małżeństwem – czas temu z pewnością zaradzi – i kiedy moja żona zaprosiła je na podwieczorek, przyjęły zaproszenie.

Kiedy przyszły z wizytą, zdawało się, że lubią nas jeszcze bardziej; może dlatego, że mieszkanie było tak małe i siedzieliśmy tak blisko siebie. Panna Stein usiadła na posłaniu na podłodze i poprosiła mnie o pokazanie opowiadań, które napisałem, i powiedziała, że podobają się jej, z wyjątkiem jednego, zatytułowanego *Gdzieś w Michigan*.

– Jest dobre – powiedziała. – To w ogóle nie ulega wątpliwości. Ale jest *inaccrochable*. To znaczy, że jest jak obraz, którego malarz nie może nigdzie wystawić i którego nikt nie kupi, bo nie powiesiłby go u siebie.

– A co, jeśli wcale nie jest nieprzyzwoite, tylko użyto w nim słów, których ludzie faktycznie by użyli? Jeśli to jedyne słowa, które mogą sprawić, że opowiadanie będzie prawdziwe, i nie da się ich nie użyć? Trzeba ich użyć.

– W ogóle pan nie rozumie, o co mi chodzi – odrzekła. – Nie wolno panu pisać czegoś, co jest *inaccrochable*. To niewłaściwe i głupie.

– Rozumiem – odpowiedziałem. W ogóle się z tym nie zgadzałem, ale była to jej opinia, a ja nie widziałem sensu w sprzecaniu się ze starszymi. O wiele bardziej wolałem ich słuchać, a Gertrude miała do powiedzenia dużo bardzo mądrych rzeczy. Powiedziała mi, że prędzej czy później będę musiał zrezygnować z dziennikarstwa, i całkowicie się z nią zgadzałem. Oświadczyła też, że sama chciałaby zostać opublikowana w „Atlantic Monthly” – i zostanie. Stwierdziła, że nie jestem wystarczająco dobrym pisarzem, żeby tam publikować, podobnie jak w „The Saturday Evening Post”, ale możliwe, że jestem jakimś zupełnie nowym rodzajem pisarza, muszę jednak przede wszystkim pamiętać, żeby nie pisać czegoś, co jest *inaccrochable*. Nie sprzeczałem się z nią ani nie próbowałem tłumaczyć od nowa, co chciałem osiągnąć, jeśli chodzi o dialogi.

To była moja sprawa i znacznie ciekawiej było słuchać. Tego samego popołudnia powiedziała nam też, jak kupować obrazy.

– Możecie kupować albo ubrania, albo obrazy – oznajmiła. – To wszystko. Nikomu, kto nie jest bardzo bogaty, nie może udać się i jedno, i drugie. Nie zwracajcie uwagi na stroje ani na modę, kupujcie ubrania wygodne i trwałe, a będziecie mieć i ubrania, i pieniądze na kupowanie obrazów.

– Ale gdybym nawet nie kupił już żadnego ubrania w życiu – powiedziałem – nie wystarczyłoby mi na kupienie picassów, których pragnę.

– To prawda. On jest poza pańskim zasięgiem. Musi pan kupować swoich rówieśników, ludzi ze swojego rocznika w wojsku. Zna ich pan. Spotyka ich pan w koszarach. Zawsze pojawiają się nowi, dobrzy, poważni malarze. Ale nie chodzi o to, że pan kupuje ubrania. Chodzi o pańską żonę. To kobiece stroje są drogie.

Widziałem, jak moja żona próbuje nie patrzeć na dziwaczny strój panny Stein, jakby prosto z pokładu trzeciej klasy, i udawało jej się to. Kiedy wychodziły, miałem wrażenie, że wciąż nas lubią, i znów zostaliśmy zaproszeni na rue de Fleurus 27.

W jakiś czas później dostałem otwarte zaproszenie do pracowni w zimie, na dowolną godzinę po siedemnastej. Spotkałem pannę Stein w ogrodzie Luksemburskim, nie pamiętam, czy z psem czy bez i czy wtedy w ogóle miała psa. Wiem, że sam byłem bez, bo wtedy nie było nas stać na psa ani nawet na kota i miałem do czynienia jedynie z kotami z kawiarni i restauracyjek albo z olbrzymimi kocurami, które podziwiałem na parapetach u konsjerżek. Później często spotykałem w Ogrodzie pannę Stein z psem; ale wtedy, mam wrażenie, jeszcze go nie miała.

Z pieskiem czy bez, przyjąłem jej zaproszenie i zacząłem przychodzić do pracowni, panna Stein zawsze częstowała mnie naturalną *eau-de-vie*, pilnując, żeby mój kieliszek nie był pusty, a ja oglądałem obrazy i rozmawialiśmy. Obrazy były wspaniałe, a rozmowy bardzo dobre. Mówiła głównie ona, opowiadała o współczesnych obrazach, ich autorach – bardziej jako ludziach niż malarzach – i o swojej pracy. Pokazała mi pokazny zbiór swoich rękopisów, które jej towarzyszka dzień w dzień przepisywała na maszynie. Codzienne pisanie dawało jej zadowolenie, ale gdy poznałem ją bliżej, odkryłem, że do szczęścia brakuje jej tego, żeby ta codzienna twórczość, o objętości wahającej się zależnie od nastroju, ale regularna, a więc sumująca się do olbrzymich rozmiarów, była publikowana i doceniana przez oficjalną krytykę.

Na początku naszej znajomości sytuacja nie była jeszcze zaogniona, jako że panna Stein opublikowała wcześniej trzy opowiadania zrozumiałe dla każdego. Jedno z nich, *Melanctha*, było bardzo dobre, dobry wybór z jej eksperymentalnego piarstwa został też wydany w formie książki, chwalonej przez wszystkich znajomych krytyków. Osobowość panny Stein sprawiała, że nie mógł się jej oprzeć nikt, na kogo przychylności jej zależało, a krytycy, którzy ją poznali i oglądali jej obrazy, ufali w jakość jej piarstwa – choć go nie rozumieli – powodowani entuzjazmem dla jej osoby i wiarą w jej gust. Inna rzecz, że poczyniła wiele odkryć w kwestii rytmu słów i używania powtórzeń, które były trafne i cenne, i potrafiła o nich opowiadać.

Ale do tego, by w dalszym ciągu pisać codziennie, bez konieczności żmudnego redagowania czy starania się o zrozumiałość, i doświadczać prawdziwej radości tworzenia, coraz bardziej potrzebowała publikacji i oficjalnego uznania, szcze-

gólnie dla niewiarygodnie długiej książki pod tytułem *Powstanie Amerykanów*.

Książka ta miała fenomenalny początek, później przez dłuższy czas utrzymywała poziom z momentami wielkiej błyskotliwości, po czym zapętleła się w nieskończonych powtórzeniach, które bardziej sumienny bądź pracowitszy pisarz wyrzuciłby do kosza. Poznałem tę pozycję ze szczegółami, gdyż nakłoniłem – czy też, ściślej mówiąc, zmusiłem – Forda Madoxo Forda do opublikowania jej w odcinkach w „The Transatlantic Review”, wiedząc, że odcinków wystarczy do końca istnienia czasopisma i dłużej. Znałem też, aż za dobrze, jego sytuację finansową i ostatecznie musiałem zrobić za pannę Stein całą korektę, bo nie cieszyło jej to zajęcie.

Tamtego chłodnego popołudnia, kiedy minąłem stanowisko konsjerżki i przez zimne podwórze dotarłem do ciepłej pracowni, wszystko to było kwestią dalekiej przyszłości; owego dnia panna Stein edukowała mnie w sprawach seksu. Do tego czasu zdążyliśmy przypaść sobie do gustu i zorientowałem się już, że jeśli czegoś nie rozumiem, to prawdopodobnie jest w tym głębszy sens. Panna Stein uważała mnie za, jak byśmy może dziś powiedzieli, sztywniaka w sprawach seksu i muszę przyznać, że miałem pewne uprzedzenia w stosunku do homoseksualizmu, jako że zetknąłem się z niektórymi jego bardziej ordynarnymi aspektami. Wiedziałem, że należało mieć przy sobie nóż i być gotowym go użyć, jeśli było się chłopakiem wśród włóczęgów w czasach, kiedy „pies” w slangu nie oznaczał „psa na baby”. Czas spędzony w Kansas City i znajomość obyczajów różnych dzielnic tego miasta, jak również w Chicago i na statkach pływających po Wielkich Jeziorach, nauczył mnie wielu słów i wyrażań, które były *inaccreditable*. Wypytywany przez pannę Stein, próbowałem jej tłumaczyć, że chłopiec

obracający się w towarzystwie mężczyzn musiał być gotów zabić człowieka, wiedzieć, jak to się robi, i mieć pewność, że jest do tego zdolny, jeśli chciał uniknąć zaczepek. To ostatnie określenie było *accrochable*. Jeśli wiedziałeś, że jesteś w stanie zabić, inni też to wyczuwali i zostawiali cię w spokoju; w pewne sytuacje jednak nie mogłeś dać się wciągnąć, ani przymusem, ani podstępem. Mógłbym wyrazić to bardziej obrazowo z pomocą powiedzonka „psów” ze statków jeziornych: „Szpara jest może i spoko, ale ja tam wolę w oko”, było ono jednak *inaccrochable*, a w obecności panny Stein zawsze zważałem na język, nawet jeśli dosłowny cytat mógłby lepiej objaśnić źródło uprzedzeń.

– Tak, tak, panie Hemingway – mówiła. – Ale pan obracał się w środowisku kryminalistów i dewiantów.

Nie oponowałem, jednak po cichu myślałem, że obracałem się w świecie takim, jaki jest, i że żyją na nim przeróżni ludzie, i że próbowałem ich zrozumieć, choć niektórych nie byłem w stanie polubić, a innych nienawidzę do dziś.

– A co powiedzieć o starszym panu z doskonałymi manierami i wspaniałym nazwiskiem, który odwiedzał mnie w szpitalu we Włoszech i przynosił butelkę marsali albo campari, i zachowywał się wzorowo, aż któregoś dnia musiałem poprosić pielęgniarkę, żeby więcej go nie wpuszczala? – spytałem.

– Tacy ludzie są chorzy; nie mogą się powstrzymać i należy im współczuć.

– A czy mam współczuć temu a temu? – spytałem. Wymieniłem nazwisko, ale on sam tak bardzo lubi je wymieniać, że nie muszę go tu wyręczać.

– Nie. On jest podły. Deprawuje innych i jest naprawdę podły.

– Ale podobno jest dobrym pisarzem.

– Nieprawda – powiedziała. – Jest efekciarzem i deprawuje dla samej przyjemności deprawowania, i nakłania ludzi do innych obrzydliwych praktyk. Do zażywania narkotyków na przykład.

– A mężczyzna z Mediolanu, któremu mam współczuć, nie próbował mnie zdeprawować?

– Proszę nie być niemądrym. W jaki sposób miałby pana zdeprawować? Czy chłopca takiego jak pan, który pija alkohol, można zdeprawować butelką marsali? Nie, był żafosnym starcem, który nie potrafi się powstrzymać. Był chory i nie mógł nic na to poradzić, i powinien mu pan współczuć.

– Współczułem – powiedziałem. – Ale byłem zawiedziony, zważywszy na to, jak doskonale miał maniery.

Wypiłem jeszcze łyk *eau-de-vie* i współczułem starcowi, i patrzyłem na picassa, akt przedstawiający dziewczynę z koszem kwiatów. Nie ja zacząłem tę rozmowę i miałem poczucie, że zmierza w niebezpiecznym kierunku. W rozmowach z panną Stein prawie nie bywało przerw, ale teraz zrobiliśmy przerwę; chciała mi coś powiedzieć, a ja nalałem sobie jeszcze kieliszek.

– Tak naprawdę nic pan o tym nie wie, panie Hemingway – powiedziała. – Zadawał się pan z kryminalistami, z ludźmi chorymi albo podłymi. Chodzi o to, że czyn, którego dopuszczają się homoseksualni mężczyźni, jest brzydki i odrażający i po wszystkim czują oni wstręt do samych siebie. Żeby go uśmierzyc, piją i biorą narkotyki, ale odczuwają wstręt do samego aktu i wciąż zmieniają partnerów, i nigdy nie są w pełni szczęśliwi.

– Rozumiem.

– U kobiet jest wprost przeciwnie. Nie robią niczego, co byłoby odrażające albo napawało je wstrętem, a po wszystkim są szczęśliwe i mogą szczęśliwie wieść wspólne życie.

– Rozumiem – powiedziałem. – A co z tą i tą?

– Ona jest podła – stwierdziła panna Stein. – Jest naprawdę podła, dlatego może być szczęśliwa tylko wciąż z kimś nowym. To deprawatorka.

– Pojmuję.

– Na pewno pan pojmuje?

W tamtych czasach było tyle spraw do pojęcia, że ulżyło mi, kiedy zmieniliśmy temat. Park był zamknięty i musiałem pójść wzdłuż ogrodzenia przez rue de Vaugirard, a potem obejść dolną część parku. To było przykre, kiedy zamykano go na kłódkę, i było mi przykro, że musiałem iść naokoło, zamiast pospieszyć prosto przez park do domu przy rue du Cardinal Lemoine. Do tego dzień zaczął się tak słonecznie. Wiedziałem, że nazajutrz będę ciężko pracował. Praca jest lekiem na prawie wszystko, tak uważałem wtedy i tak uważam dziś. Z drugiej strony odniosłem wrażenie, że według panny Stein trzeba mnie było uleczyć jedynie z młodości i miłości do żony. Było mi lekko na duszy, kiedy dotarłem do domu przy rue du Cardinal Lemoine i podzieliłem się z żoną nową wiedzą, i spędziliśmy szczęśliwie noc z wiedzą, którą mieliśmy już wcześniej, i z jeszcze inną, nową wiedzą, którą przywieźliśmy z gór.

3

Shakespeare and Company

W tamtych czasach nie było pieniędzy na kupowanie książek. Książki wypożyczaleś z Shakespeare and Company, księgarni z wypożyczalnią prowadzonej przy rue de l'Odéon 12 przez Sylvię Beach. Było to cudownie ciepłe i przyjazne miejsce przy zimnej, wietrznej ulicy, z wielkim grzejnikiem w zimie, pełne półek i stołów z książkami, nowości w witrynie i wiszących na ścianach fotografii pisarzy, żyjących i zmarłych. Wszystkie zdjęcia wyglądały na zrobione z zaskoczenia i nawet nieżyjący pisarze wydawali się na nich pełni życia. Sylvia miała żywą twarz o bardzo wyrazistych rysach i oczach ruchliwych jak u zwierzątka i radosnych jak u młodej dziewczyny i faliste brązowe włosy, zaczesane z kształtnego czoła do tyłu i obcięte prosto poniżej uszu, równo z linią kołnierza jej brązowego zamszowego żakietu. Miała ładne nogi, była miła, pogodna i ciekawa świata i uwielbiała żarty i plotki. Traktowała mnie najżyczliwiej ze wszystkich ludzi, jakich znałem.

Kiedy po raz pierwszy przyszedłem do księgarni, byłem bardzo onieśmielony i nie miałem przy sobie pieniędzy na wpisowe. Stwierdziła, że mogę wpłacić kaucję, kiedy będzie mnie stać, wyrobiła mi legitymację i powiedziała, że mogę wypożyczyć tyle książek, ile chcę.

Nie miała powodu, żeby mi ufać. Nie znała mnie, a adres, który podałem, rue du Cardinal Lemoine 74, był tak nędzarski, jak to tylko możliwe. A jednak była urocza, zachwycająca i życzliwa, a za nią, od podłogi do sufitu, i dalej przez tylną salę wychodzącą na podwórze, wszędzie rozciągały się półki z bogactwami wypożyczalni.

Zacząłem od Turgieniewa i wziąłem *Zapiski myśliwego* w dwóch tomach oraz wczesnego D.H. Lawrence'a, myślę, że *Synów i kochanków*, a Sylvia powiedziała, żebym wziął więcej książek, jeśli chcę. Dobrałem *Wojnę i pokój* w przekładzie Constance Garnett oraz *Gracza i inne opowiadania* Dostojewskiego.

– No to będzie miał pan co czytać przez jakiś czas – zauważyła Sylvia.

– Przyjdę niedługo uregulować opłatę – zapewniłem. – Mam pieniądze w domu.

– Nie o to mi chodziło – powiedziała. – Zapłaci pan, jak będzie panu pasowało.

– Kiedy przychodzi Joyce? – spytałem.

– Jeśli przychodzi, to zwykle dopiero pod wieczór – odrzekła. – Nigdy go pan nie spotkał?

– Widzieliśmy raz z żoną, jak jadł z rodziną obiad u Michauda – powiedziałem. – Ale niegrzecznie jest wpatrywać się w kogoś, kiedy je, poza tym u Michauda jest drogo.

– Jadają państwo w domu?

– Przeważnie. Mamy dobrą kucharkę.

– W pańskiej dzielnicy nie ma dużo restauracji, prawda?

– Niewiele. Skąd pani wie?

– Larbaud tam mieszkał – wyjaśniła. – Bardzo mu się podobało, nie licząc tej jednej rzeczy.

– Najbliżej można dobrze i tanio zjeść koło Panthéonu.

– Nie znam tej dzielnicy. My jadamy w domu. Powinien pan kiedyś przyjść z żoną.

– Niech pani lepiej zaczeka, aż ureguluję wpisowe – powiedziałem. – Ale dziękuję bardzo.

– Proszę nie czytać za szybko – odrzekła.

Nasze dwupokojowe mieszkanie nie miało ciepłej wody ani ubikacji, nie licząc przenośnej toalety chemicznej, co nie było szczególnie uciążliwe dla kogoś przywykłego do wygodki w Michigan, poza tym jednak było przytulnym, radosnym mieszkaniem z ładnym widokiem; na podłodze leżał porządny, gustownie obleczony materac, na którym całkiem wygodnie się spało, a na ścianach wisiały nasze ulubione obrazy; kiedy tam dotarłem, opowiedziałem żonie, jakie wspaniałe miejsce znalazłem.

– Ależ, Tati, musisz tam pójść jeszcze dziś i zapłacić – powiedziała.

– Pewnie, że pójde – odrzekłem. – Pójdziemy razem. A potem przejdziemy się nad rzekę i wzdłuż nabrzeży.

– Chodźmy przez rue de Seine i pooglądajmy galerie i wystawy sklepowe.

– Pewnie. Możemy pójść gdziekolwiek i usiąść w jakiejś nowej kawiarni, gdzie nie znamy nikogo ani nikt nas nie zna, i się napić.

– Możemy wypić po dwie kolejki.

– A potem możemy pójść coś zjeść.

– Nie. Nie zapominaj, że musimy zapłacić za wypożyczalnię.

– Wrócimy do domu i zjemy tu pyszny obiad, i napijemy się wina z Beaune ze sklepu spółdzielczego, który widać z naszego okna; tego z ceną Beaune w witrynie. A potem trochę poczytamy i pójdziemy do łóżka, i będziemy się kochać.

– I nigdy nie będziemy kochać nikogo innego, tylko siebie nawzajem.

– Tak właśnie. Nigdy.

– Cóż za wspaniałe popołudnie i wieczór. Teraz lepiej zjedzmy lunch.

– Jestem bardzo głodny – powiedziałem. – Pracowałem w kawiarni o jednej *café crème*.

– Jak ci poszło, Tati?

– Myślę, że dobrze. Mam taką nadzieję. Co będzie na lunch?

– Rzodkiewki i dobre *foie de veau* z purée ziemniaczanym i sałatką z endywii. I szarlotka.

– I będziemy mogli czytać wszystkie książki świata i zabierać je ze sobą w podróż.

– Wolno tak robić?

– Jasne.

– A ma też Henry'ego Jamesa?

– Jasne.

– Rany – powiedziała. – Mamy szczęście, że znalazłeś to miejsce.

– Zawsze mamy szczęście – odparłem i, jak idiota, nie odpukałem w niemalowane. A w tym mieszkaniu było pełno niemalowanych rzeczy, w które można było odpukać.